


856.
e88.
Antonina Mikuć

Nagranie: Janina Wołczuk

Wykorzystanie do tematu: Ziemia Lidzka ...  **ARCHIWUM WSCHODNIE**

Antonina Mikuć, urodzona 26 stycznia 1911 roku w Zadworcza-
nach /potem Nieciecz/ powiat Lida. Przed I wojną majątek nazywał
się Nieciecz, a wieś Zadworczański. Z tego powodu miałam kłopoty z
metryką w Grodnie. Rodzice moi i dziadkowie zawsze mieszkali tam
na miejscu, w Niecieczy lub okolicach.

Kiedy bolszewicy przyszli w 1939 roku, to wyglądało tragicz-
nie. Przez naszą wieś szedł gościniec na Lidę /przez Minojty/. Woj-
sko na Lidę szło przez Nieciecz. Ludzie chowali się przed Rosjanami
Wydawało mi się, kiedy Polska zginęła, że już i gwiazdy nie świeci-
ły na niebie, tak było przykro. Płakałam, biegałam po podwórku.
Partyzantka zaczęła się organizować chyba w 1942 roku. Najpierw
objawiła się ruska partyzantka - zaczęli Polaków mordować, uszy
obcinali. Nieciecz Rosjanie dwa razy palili - podpalili wioskę
z obu końców. Wtedy podpalili wioskę w czterech miejscach i zabi-
li trzy osoby, m.in. Julisia Masło, Kolendo i Aleksandra Wołka.
Kolendo był kawalerem, a tamci dwaj byli żonaci, mieli dzieci.
To było jeszcze przy Niemcach. Kiedy Niemcy się wycofywali i mie-
li drugi raz wkroczyć Rosjanie, to myśmy wyjechali nawet do dru-
giej wsi - do Serafinów /to była wieś mojego męża/, baliśmy się,
że nas zabiją. Ja też miałam być wywieziona, siostra moja należa-
ła do polskiej partyzantki i mąż też, więc nas nazywali Rosjanie
"bandycka semja".

Z AK współpracował osadnik Miszczuk /potem go zabili/. Misz-
czuk uciekł, kiedy wywozili osadników w 1940 roku. Władysław Misz-
czuk zginął w walce, a Tabotę /to też był osadnik, który uciekł
przed wywózką na Syberię / Rosjanie zabili - wieźli gdzieś potem
jego ciało na wozie. Nie wiem, gdzie został pochowany Tobota, a
na pogrzebie Miszczuka nawet byłam. Miszczuk zginął podczas walki,
która była za Klukowiczami /gdzieś koło wsi Piszczowce/. To była
walka z partyzantami. Bywało, że przyleci Ragner i mówi: "Pani
Janino, tyle i tyle wieńców." Ile ja się tych wieńców nawiłam,

Antonina Mikuć c.d.

tylu przecież zginęło. W Niecieczy był cmentarz partyzancki, z boku od cmentarza parafialnego /teraz chowają na tym cmentarzu partyzanckim/. Teraz podobno nawet ksiądz mówił, żeby pomodlić się za tych poległych partyzantów.

Wtedy już chowali partyzantów bez księdza, księdza w Niecieczy nie było. Zabici leżeli na plebanii, ale pogrzeby były bez księdza. Ludzie przychodzili na pogrzeby partyzantów. Ja byłam na każdym pogrzebie. U mnie w domu często bywał Ragner - i nocował, i tak przychodził. W oddziale u Ragnera była taka pani Kowrygowa, to w naszym domu urządzali jej imieniny. Kowrygowa była starsza od mojej siostry Janki. Często jeździła z Janką albo sama po broń do Lidy. Nieraz były zatrzymywane przez Niemców, ale kończyło się szczęśliwie. Siostra moja woziła broń, leki, przechowywała to w naszym domu, gdzieś w obejściu.

Na rozprawie mojej siostry przeciwko siostrze świadczyła Maria Bujniewicz z Niecieczy. To było podczas drugiego aresztowania mojej siostry. Doszło do tego w następujący sposób: do wsi przyjechali Rosjanie i powiedzieli, że zabiorą żyto z pola. A my żyto siałismy jeszcze przed kołchozem. Powiedzieliśmy, że kołchoz zabierze to, co posieje w przyszłym roku. Wtedy Rosjanie pozabierali mężczyzn. Na to kobiety powiedziały, żebyśmy wszystkie poszły przeciwko tym Rosjanom, a gdyby która nie poszła, to pobiją jej okna. Wszystkie zdecydowały się iść, bo każdy chce żyć i każdy chce chleba. Mężczyzn zabrali na plebanie koło kościoła /kościół już był bez księdza, ludzie sami chodzili modlić się, kościół był otwarty/. Wyszłyśmy wtedy z siostrą z kościoła, siostra chciała pójść na cmentarz na grób matki. Przechodząc, zatrzymała się koło tych kobiet. Baby podeszły do tych bolszewików i zaczęły na nich krzyzczeć. Wtedy ci bolszewicy do nas z karabinami - a baby zaczęły płot łamać. Połamały całą ^y płot koło plebanii i zaczęły tymi drągami rzucać na nich. Żołnierze puciekali.

Antonina Mikuć c.d.

A paru NKWDzistów zostało. Na drugi dzień rano zaczęli chodzić po wiosce, zaglądać do domów, słuchać, co tutaj ludzie gadają. Potem zjawiono się wojsko, pełno wojska, w każdym zakątku byli żołnierze. Wtedy znów aresztowali moją siostrę Jankę. Aresztowali też tę kobietę, która przeciwko niej świadczyła. Moja siostra siedziała wtedy niewinnie.

Zabrali wtedy kilka kobiet i mężczyzn, m.in. naszego kuzyna, który tam i zmarł - Wacław Woronowicz. Był zabrany też Rumczyk Stanisław. Woronowicz był chyba prezydentem w tym kołchozie. Zostawił żonę, to był młody człowiek. Zabrali Helę Masło, Zosię Krypień - one siedziały po 3 lata /dostały wyrok 10 lat, ale siedziały po 3/. Był zabrany Heniek Rum. Zabrali wtedy chyba z 15 osób, ale niektórych wypuścili, a innych osadzili. Wacław zmarł w więzieniu, a inni powychodzili, ale już poumierali. Do Polski nie przyjechali. Z naszej wioski jakoś mało ludzi wyjechało. Wyjechał Piotruś Rum, Adam Tobała /który uciekł z partyzantki/, Stanisław Masło.

Kiedy zaczęli organizować kołchoz, to chodzili po domach, przychodzili nawet w nocy, żeby podpisać zgodę. Potem robili co rusz zebranie. Ja przyjechałam do Polski w 1956 roku, byłam w kołchozie przez 5 lat, wstąpiłam do kołchozu w 1951 roku. W Niemczech nie było ani jednego "jedinolicznika". Nikt się nie sprzeciwił, bo nikt nie chciał na Sybir.

Po wywiezieniu osadników w 1940 roku dobytek został zabrany przez władze. Dobre domy zostały rozebrane, sprzedane. W niektórych domach zamieszkali ludzie ze wsi, ale później puciekali, bo przyszła partyzantka. Najdłużej stał dom Taboty i Witkowskich - w tym domu potem kołchoz chował kury.

Chodziłam do pracy do kołchozu, robiłam różne prace w polu. Jeszcze wiosną 1951 roku kobiety chodziły do lasu /koło nas był duży las/ i paliłyśmy gałęzie na nawóz na pole. Potem ten popiół

Antonina Mikuć c.d.

rozsięgało się po polach. Po wstąpieniu do kołchozu można było trzymać krowę. U mnie zabrali klacz ze źrebakiem i całe wyposażenie: pług, brony, zaprzęg i wszystko inne. Ludzie wstępując do kołchozu nie mieli zbyt wiele dobytku, bo przedtem zabrali wszystko Niemcy. Ja potem dochowałam się jeszcze jałówecki, to wszyscy mi zazdrościli. Bardzo ciężko było wykarmić krowę - zbierało się trawy po lesie, perz, chwasty. Karmiliśmy bydło nawet nawozem końskim. Krowy ryczały potem, jak nie dostały ceberka nawozu końskiego. Można było też trzymać świnie, parę kur - zależało, kto jak dawał radę. Ja byłam sama z dziećmi... Kiedy aresztowali męża, to zabrali część mienia w ramach konfiskaty mienia, m.in. pozabierali owce. Przedtem jeszcze Niemcy wycofując się zabrali klacz.

Miałam czworo dzieci. Chowałam je bez męża. Dobrze, że jeszcze była krowa... Kiedy męża zabrali, to najmłodsze dziecko miało 11-ty miesiąc /męża zabrali w czerwcu, a w sierpniu Romcio kończył rok; a Tadek miał 4 latka w lipcu, Lucyna - 7 w maju, a najstarsza Czesia miała 12 lat/. Kiedys było tak, że przez całe lato nie było chleba. Potem przed Bożym Narodzeniem upiekłam chleb, to dzieci jak to dzieci - zjadły ten chleb cały w Wigilię i pierwszy dzień świąt: wiadomo, tego chleba stale brakowało! Na drugi dzień Lucyna wróciła z zabawy /a młodzi bawili się mimo wszystko!/ i pyta, co jeść. Były kartofle i cebula. Tak zjadła i poszła spać. I tak przeżyliśmy cały rok - bez chleba. Jedliśmy kartofle, to gdzieś jakieś parę ziarenek. Miałam działkę 10 arów. Kiedys już po żniwach, jak kołchoz zwiózł z pola pszenicę, poszłam z pościątką nazbierać trochę kłosów. Poszłam z dziećmi, ale dzieci pobiegły do domu. Nazbierałam trochę tych kłosów - takie grube były - i niosę. A z Jamontów jechał prezydent. Zobaczył i odebrał te kłosy. Później tylko pościątkę mi oddał.

Po pierwszym roku pracy nie dostaliśmy w kołchozie żadnej

Antonina Mikuc c.d.

zapłaty, nic! Oni zdenerwowali się, że ludzie sami sobie zebrali żyto. Ale nie wiem, czy z tego żyta chociaż jeden chleb upiekłam. To był ten rok nieurodzajny, wszystko wymokło, na polu była sama miotła. Ja byłam sama, z małymi dziećmi. A kontygent nałożyli taki, że ja całe to żyto oddałam na kontygent. A jeszcze przecież trzeba było nająć kogoś, kto to zboże by wymłócił. To biliśmy z dziećmi te snopy różnie - z dziećmi - i o bronę, i o pieniek /pieniek postawiłam i biłam te snopy o pieniek, o pieniek./ Ten rok był dla mnie najgorszy. Potem już jakoś zaczęli chleb w Lidzie sprzedawać, to od czasu do czasu można było kupić.

Na kontygent trzeba było wszystko oddać: gęsi chowałam - to poszło na kontygent. Ludzie składali się, kupowali razem krowę czy jałoweczkę i oddawali na kontygent. To były straszne czasy.

Skąd pieniądze na chleb? Nie mogę prawie opowiadać: pójdę czasem do Bielicy /pani nie uwierzy, ale ja miałam obtarty grzbiet do kości/, pójdę do Bielicy, nakupię jajek na targu /Bielicą od nas 8 km/, a później 25 km na pieszo całą noc idę do Lidy - sprzedam te jajka trochę drożej, kupię chleb i mi parę rubli zostanie. I farbowane jajka nosiłam na Wielkanoc do Lidy - myślałam, że farbowane będą droższe.

Ludzie różnie żyli. Lepiej było tam, gdzie mężczyzna był w rodzinie. A u mnie nie było nikogo: mama zmarła w 1948 roku - jeszcze przed kołchozem, zmarła też ciocia, która była z moją siostrą w Wilnie - pogrzeby były jeszcze z księdzem. Ksiądz u nas to przyjedzie, to znów gdzieś zniknie, to znowu dadzą tego księdza. Miałam i pogrzeby w domu, i choroby dzieci. Jak męża zabrali, to akurat starsza córka zachorowała na tyfus brzuszny. Trzeba było do szpitala. Lekarka powiedziała: "Jak nie pozaleje-tie dzieńg na zastrzyki, to uratujemy". Córka miała ponad 40^o gorączki. To sprzedawałam, co mogłam - pościółki... Córkę powiozłam rano do Bielicy, a potem do Lidy. I tak było: córka le-

Antonina Mikuc c.d.

zała w szpitalu, dwoje w więzieniu, dzieci w domu zachorowały na odrę, a syna potem jeszcze z tego wszystkiego dyfteryt złapał - dusił się... Kiedy męża zabierali, pojechałam z nim do Lidy, ale potem wróciłam do domu. W ten sam dzień ciocia z Wilna przyjechała - i ona dała pieniądze na leczenie. Mówiłam cioci, że nigdy tego nie zapomnę, będę zawsze za nią się modlić. Powiozłam wtedy Tadzika do lekarza - ten od razu bańki postawił /bo był i dyfteryt i zapalenie/. Były bez przerwy takie nieszczęścia, że nie było kiedy i dzieci dojrzeć.

W kołchozie radził sobie ten, kto umiał ukraść. A ja nie umiałam kraść: tylko 12 snopków kiedyś wzięłam w kołchozie; bez chleba byłam, a nie kradłam. Po drugim roku pracy - przepracowałam cały rok i dostałam 50 kg zboża /potem okazało się, że jeszcze dostałam 3 kg nadpłaty/. A ludzie kradli... Nawet moja córka już była bystrzejsza... A ja nie mogę. Ludzie do żniw poszli sobie ubrania z dużymi kieszeniami i do tych kieszeni brali zboże

A do pracy do kołchozu gonili. Trzeba było iść, bo jak się nie poszło, to wyrzucali z kołchozu - i gdzie się człowiek podzieje. Moja starsza córka przez parę dni nie poszła do pracy - to ją wyrzucili. Córka moja nie wyjechała do Polski - jakoś jej szkoda było wyjeżdżać, załowała domu. Może chciała przyjechać później, ale już zamknęli granicę. Zresztą jej mąż nie chciał wyjeżdżać. Dobry był człowiek, ale potem zginął w czasie burzy od pioruna.

Do mnie przychodziły czasem kobiety - ja byłam chyba w najcięższej sytuacji, ale przyjmowałam wszystko z nadzieją. Mówiłam, żeby nie martwiły się, że zaorzemy sotki, posadzimy kartofle... Żartowałam zawsze. Były kobiety, których mężowie nie wrócili z wojny.

W latach 50-ch księdza w Niecieczy już nie było. Dzieci wozono do chrztu do Lidy, do Minojtów /może niektóre były i niech

Antonina M₁kuć c.d.

chrzczone/. Ja swoje dzieci jak umiałam tak przygotowałam do Komunii /Tadzika i Romkę/. Szliśmy od Bielicy pieszo do kościoła. Przygotowałam jeszcze i sąsiednią dziewczynkę i chłopaka sąsiedniego. Uczyłam ich żegnać się. Teraz, kiedy jeździłam do Niecieczy, to nie poznałam tego chłopaka, ale on przypomniał się jako ten, "którego żegnać się uczyłam i pacierza". Dzieci prowadziłam do komunii aż do Zdzięcioła - tam był ksiądz. A po opłatki aż do Wilna jeździłam. Nie bałam się. Zawsze odprawialiśmy majowe, czerwcowe - już wtedy był kołchoz. Zbieraliśmy się u mnie w domu, a jak było ciepło, to wynosiliśmy stół, stawialiśmy świece i obraz Matki Boskiej i śpiewaliśmy i litanię odmawialiśmy. Do Matki Boskiej to umiem na pamięć, a do Serca Jezusowego - z książeczki. Ludzie mnie żartobliwie nazywali księdzem. Kiedy mnie nie było, to córka Lucyna prowadziła modlitwę.

Kiedys przyszedł ruski żołnierz, a my odprawialiśmy akurat litanię. I on ukląkł. My mówimy: módl się za nami - jak to w litanii. A on: "I ja za wami, i ja za wami." Potem mówimy mu, że mówił nie tak, jak trzeba, a on na to, że nie wie, jak trzeba mówić, mówił więc - "i ja za wami."

Ludzie w domach mieli obrazy. Ja miałam taki obraz, który uratował mi syna - to był obraz Serca Maryi. Kiedy syn mój się urodził /w lipcu 1941 r./ babka źle mu zawiązała pępek i cała krew z niego wyszła. Nie wiem, jak to dziecko wyżyło - to ten obraz go uzdrowił. Zawsze modlę się do Niepokalanej. I wtedy modliłam się gorąco, rozmawiałam z Matką B^Użą: Matko, jak będzie złym człowiekiem, to niech teraz umiera. Ale chciałabym bardzo, żeby żył." A on ani nie jadł, ani nie pił, przez dwa tygodnie był prawie na tamtym świecie. A później po troszeczku pociągnął piersi raz - drugi. Cieszyłam się i płakałam z radości - i wyżył. Jest porządnym człowiekiem.

Kiedy syn miał 5 lat, to go wąż ugryzł. Ukąszenia węża nie

Antonina Mikuć c.d.

leczyli, tylko zamawiali. Zamawiaczem był Bolesław Bludnik, który mieszkał w wioseczce za Kłukowiczami. Przyszłam do niego, poprosiłam o pomoc. Człowiek ten zapytał o imię dziecka, o to, która noga była ukąszona. Zaraz ukląkł, przeżegnał się i zaczął modlić. Potem wstał i powiedział, że dziecku już jest lżej. Kiedy wróciłam do domu /a to było ze 4 km drogi/, syn siedział i bawił się pudełkami od zapalek /a przedtem było już z nim bardzo źle - spuchnięty, wymiotował/. Kiedys zabawek nie kupowało się - zbierało się pudełeczka od zapalek, od pasty - i tym dzieci bawiły się.